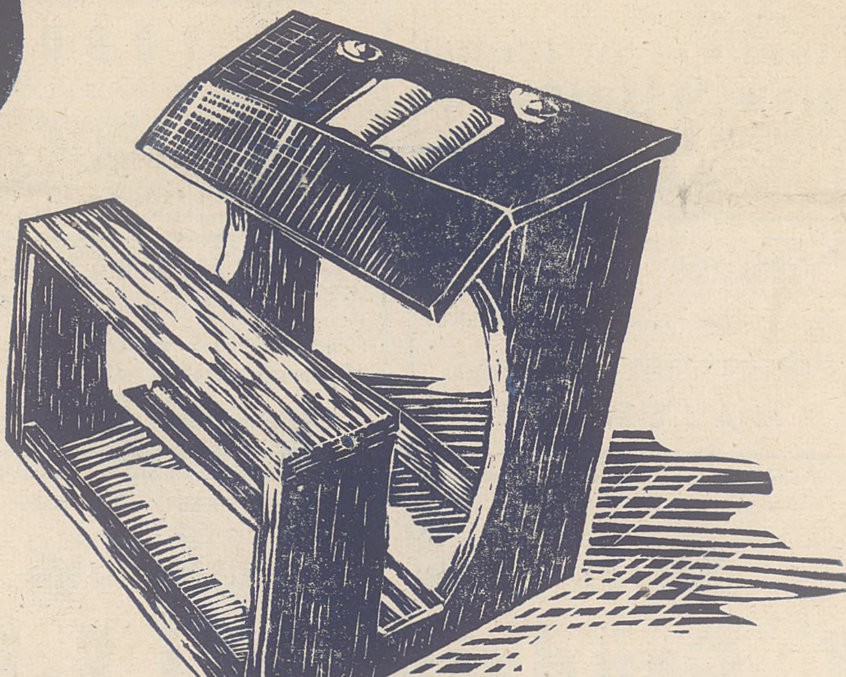
na Szkolnej



ławie

Cena numeru 20 groszy

Rok XIII. Luty — Marzec 1938 r. Nr. 5.

NA SZKOLNEJ ŁAWIE

CZASOPISMO OSTROWIECKIEJ MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

DNI MARSZAŁKÓW

Osiemnasty i dziewiętnasty marzec.

Pierwszy Marszałek Polski, choć ciałem nieobecny, będzie żył wśród nas z pokolenia w pokolenie, jako wielki, potężny duch. Czas zatrze po nas nawet ślady, a On pozostanie, bo należy do ludzi, którzy żyją życiem wiecznym, a im dłuższym, tym bardziej świętym.

Minął bezpowrotnie 19 marzec — radosny, beztroski, przepojony miłością, weselem i szczęściem. Teraz smutek mroczy nasze lica... Już nie ma z nami Marszałka. Jeno duch jego czuwa nad nami.

Czy cieszy się serce Marszałkowe z naszego smutku?

Nie!

Precz z melancholią i smutkiem! Chwyćmy silnymi dłońmi za młoty, aby kuć granitową przyszłość Polski, wszak **nadeszły czasy, których znamieniem jest „wyścig pracy".**

— — — — — — — — — —

Osiemnasty marzec jest świętem drugiego marszałka Polski — Edwarda Śmigłego-Rydza, dziedzica i spadkobiercy wielkich idei pierwszego Marszałka. W tym dniu powinniśmy postanowić sobie iść w zwartych szeregach za wskazaniami Marszałka Śmigłego.

Niech czyn zadokumentuje wiarę w wodza!

Chwyćmy za łańcuch, aby **już teraz,** ile kto mocy ma w ramionach, **ciągnąć Polskę wzwyż!**

Pierwsze pokolenie, wzrosłe w niepodległej Polsce, musi zadokumentować czynem, że nie zawiodło nadziei, jakie w nim pokładali nasi wodzowie.

Nie może być wśród nas zwątpienia! Musi być wiara w czyn! Potęga czynu może być tylko z wiarą w dzieło! Zwątpienie jest próchnem w podstawach budowli.

Uczcijmy święta naszych marszałków postanowieniem zabrania się z całym młodzieńczym zapałem do pracy mrówczej, mozolnej, codziennej: sumiennie spełniajmy nasze obowiązki — a przyczynimy się do wzrostu potęgi Polski.

Zdzisław Domański VIII G. M.

PO JEGO ZGONIE...

Sto lat minęło od wydania przez Juliusza Słowackiego „Anhellego” — jednego z jego arcydzieł.

Dziewiętnastego marca przypada dzień imienia Józefa Piłsudskiego, wielkiego Marszałka, który wcielał w czyn idee Juliusza Słowackiego.

W te dwie rocznice poświęcam kilka słów cieniom dwóch Wielkich Polaków.

— Arcymistrz!... Arcymistrz!... — szeptał lud w zachwycie...

Siedzi. Czarny płaszcz w licznych fałdach z ramion mu spływa po całej postaci. Oczy jego zmrużone... nieziemsko w coś wpatrzone... wysoko... na ustach uśmiech pełen słodyczy jakiejś dziwnej, miłości, a wzgardy zarazem i bólu...

Po łatwych strunach białymi palcami wodzi... Duszę melodii oddając czaruje lud swymi pieśniami.

— I on już nie żyje?!

— — — — — — — — — —

W rozszalałym zabawą Paryżu łkała cicho, w odosobnieniu, z tęsknoty za ziemią ojczystą kryształowa dusza Króla-ducha, króla serc wielkich Polaków.

— Czy dziedzice moich idei zapomnieli o mnie?... Tak pragnę spocząć w ziemi ojców moich...

Rok 1914.

Huragan wojny światowej wstrząsnął posadami ziemi...

Kataklizm dziejowy strącił w otchłań stare wielkości ziemskie waląc je w gruzy, a stworzył nowe potęgi...

Wyśnioną przemianę oblicza świata śledził z niepokojem Król-duch. Na ustach jego wykwitł radosny uśmiech: oto z morza krwi, z ogromu żelaza powstała Ta, która miała być Winkelridem narodów — Polska.

Polska wolna, niepodległa! Ucieleśnienie jego marzeń!

Skierował zwrok na ziemię kochaną, na jej miasta, na Wawel... i tu zatrzymał się spojrzeniem.

Z łomotem rozwarły się podwoje Wawelu i usłyszał z nich głos, zaświatową głębią ducha tchnący:

— Tyś mocarz, władca ducha! Niekoronowany, a ponad nas król! Ukochałeś Polskę ponad siebie! Bóg z tobą, ty z nami! Wnijdź do królestwa naszego!

Rozdzwonił się dzwon Zygmunta... Zaśpiewały chóry... Nadeszło dla Słowackiego ostatnie święto — największe, a szczęśliwe! Jedyne przeżycie najgłębsze, a nie radosne w swym bólu — jako wszystkie, lecz dające pełnię największego zadowolenia, prawdziwego szczęścia.

Szloch tysięcy, dźwięki mowy i pieśni polskich chwyciły duszę marzyciela, szybującą nad łanami pól ojczystych, w swe władcze szpony, a on... bezbronny — zaszlochał... ze szczęścia.

Naród składał hołd jego wielkości!

Z serc tysięcy uwielbieniem tchnących biła w błękity pieśń wielka, potężna:

— Oto człowiek, który przezwyciężył śmierć i został wśród nas w świetlanych blaskach chwały. Poszliśmy wskazanymi przezeń drogami wcielając w czyn jego wielkie plany o Polsce przyszłości. To nasz Król-duch! On, Słowacki, naszym jest wodzem duchowym, pierwszym Królem odrodzonej Polski! Królem Jej dusz! Miejsce jego w ciszy Wawelu, wśród króli.

Za jego plany, idee,
za potężną miłość ojczyzny
za krzepienie dusz naszych w chwilach zwątpienia,

za piękno jego mowy polskiej
cześć mu i chwała!
Cześć mu, cześć!

— — — — — — — — — —

Nad kołyską maleńkiego chłopczyny pochylała się cudna głowa jego mateczki. Klęczała obok kołyski wpatrzona w śpiące dziecko nieziemskim wzrokiem, a ze spieczonych warg wymykał się cichy szept — modlitwa:

— Panie wszechświata! Napełnij to maleństwo taką miłością dla mnie, jaką żywił wielki poeta Juliusz. Panie! Daj mu hart i siłę ducha, jaką miał ten poeta, a zasiądzie on między wielkimi tego świata...

Po chwili ciszy słychać było jej szept:

— „Wszędzie... miłosne twoje oddychanie
Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;
W tych strofach jeszcze — kiedy rym ustanie
Niechaj czytelnik na końcu usłyszy
Moje twych biednych stóp — pocałowanie,
Bo łez nie słyszał...".

— — — — — — — — — —

Czytelniku! Czyż takiemu człowiekowi, jakim był Juliusz Słowacki, nie należało się miejsce w kryptach Wawelu? Czy mogli ojcowie nasi pozwolić na to, aby ciało jego spoczywało na obczyźnie?

Ladi Kosmos VIII G. M.

Bernard Rduch.

C. O. P.

Zadudnią i zatętnią pełnym życiem
ogromne, przepotężne fabryki;
usłyszysz przeraźliwe syren wycie,
motorniczych, maszynistów krzyki...
— a echo hen! wybiegnie,
popędzi wprost przed siebie —
dalej,
coraz dalej,
coraz wspanialej,
zuchwalej,
aż gdzieś spocznie, legnie
i opowie bratu...
Ruszą jednostajnym hukiem
maszyny... wielkie stalowe maszyny:
— Stal o stal — stal o stal...
A bij... wal — a bij... wal...
Odrzuć żal — śmiało wal...
Odrzuć żal — śmiało wal...
I pal... wal — i pal... wal...
— a echo wszędzie dociera,
gna przed siebie zuchwale,
coraz dalej
i kołacze w serca stale...
Staną kominy, kominy...
ku niebu spozierające;
wybiegną dymy, gęste dymy
słońce zasłaniające...
— a echo hen! wyleci,
wpierw blisko,
potem dalej,
dalej,
coraz dalej,
coraz głośniej,
wspanialej
i oznajmi wszystkim
że przemysł w COP-ie rośnie,
jaka ważna Jego rola,
że jest Polska —
— Jej stalowa wola!!

—o—

NOWA POLSKA

„Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie” — o tym przysłowiu zdajemy się zapominać, ilekroć mówimy o wyczynach techniki i zdobyczach cywilizacji zagranicznej. „Gigantyczne” i „na wielką skalę zakrojone” inwestycje u obcych mają u nas dobrą propagandę, podczas gdy miasto i port przyszłości Europy środkowej, nasza Gdynia, nasz Chorzów, zagłębie naftowe, czy chociażby młody jeszcze Okrąg Centralny są jeszcze zbyt mało znane za granicą, a częstokroć nie doceniane w kraju. I mówi się ciągle, że w Polsce nic się nie dzieje, że podatki idą nie wiadomo na co, że... czego się wreszcie nie mówi?!

Tymczasem buduje się jednak Polska żelazo-betonowa, owo „pracowisko postępu” Żeromskiego. Kilkanaście miesięcy temu powstał plan stworzenia potężnego ośrodka, w którym by skoncentrował się wielki przemysł Polski mocarstwowej. W bardzo szybkim tempie przystąpiono do realizacji projektów. Tam, gdzie dotąd nędznie wegetowały wsie i miasteczka ręce polskich robotników tworzą nowoczesne ośrodki przemysłowe. „Kraj zapomniany od Boga” — jak go nazywa Wańkowicz — zmienia się błyskawicznie w tętniące życiem i pracą ognisko wytwórczości. Lubelskie dostarcza mu płodów rolnych, Świętokrzyskie zasila go w rudy, Śląsk daje mu węgiel, Podkarpacie — energię wodną, elektryczną i gazową.

Stolicą C. O. P. jest Sandomierz i tu mieścić się będzie centrum nowej Polski. Sandomierz, starożytne miasto będzie jednocześnie centrum nowoczesności.

Oprócz gazu i elektryczności otrzyma Sandomierz nowy port rzeczny, przy którego budowie wrą obecnie gorączkowe prace. Plany racjonalnej rozbudowy miasta pozwolą na zrealizowanie zasad współczesnej urbanistyki. Przeprowadzenie kanalizacji, budowa wielkiej rzeźni — oto początki rozkwitu Sandomierza. W bieżącym roku rozpocznie się budowa wielkiego mostu przez Wisłę.

Bardzo wydatnej pracy dokonano w dziedzinie „ujarzmienia” wód. Sandomierz był otoczony całą siecią drobnych rzeczek i strumieni, które stale zalewały okoliczne wsie i pola. Częste wylewy Wisły jeszcze bardziej pogarszały sytuację.

Powstały więc dwa zagadnienia: 1) odwodnienie wielkich terenów podsandomierskich i 2) obwałowanie Wisły. Przystąpiono do dzieła z wielką energią. Postanowiono stworzyć 14 kilometrowy kanał, do którego by spływały wszystkie szkodliwe wody, kierując jego koryto ku „królowej rzek polskich”. Do wykonania tego planu posłużyła rzeka Koprzywianka. Począwszy od Sandomierza w stronę miasteczka Koprzywnicy ciągną się nieprzerwanie usypane już potężne wały, nad których budową i umocnieniem pracują tłumy robotników. W jednym miejscu pogłębia się łożysko kanału, w innym buduje się specjalne rowy odwadniające, lub też progi, ułatwiające spadek wód, jeszcze gdzie indziej przerzuca się mocne mosty, których jest obecnie siedem, prawie wykończonych.

Opisane prace melioracyjne są pierwszym etapem wielkiego dzieła. Drugim — jest wspomniane już obwałowanie Wisły. Dotąd wykonano już 30 km. wałów. Potężne, sześciometrowe nasypy ziemne są jednym z realnych, widocznych czynów na terenie C. O. P. Oprą się one niewątpliwie wszelkim atakom wezbranych wód wiślanych.

Po zakończeniu budowy wałów oraz po ostatecznym uregulowaniu Koprzywianki zniknie w Sandomierskim na zawsze klęska powodzi.

Budowa C. O. P. postawiła naszej polityce komunikacyjnej nowe zadania. Oto teren Okręgu posiada bardzo słabe połączenia ze Śląskiem, Warszawą, Gdynią i z Kresami Wschodnimi.

Trzeba więc koniecznie poskracać stare i wybudować nowe linie kolejowe. które by łączyły C. O. P. ze Śląskiem. Budowa linii Radom — Iłża — Ostrowiec wydatnie zmniejszy odległość Sandomierza od Warszawy.

Ale to nie wszystko. Potrzebne jest oprócz tego drugie połączenie: szosowe, gdyż transporty autami ciężarowymi grają w życiu gospodarczym coraz większą rolę. Rozbudowa więc linij komunikacyjnych jest jedną z najbardziej palących potrzeb C. O. P.

Realizacja uprzemysłowienia Okręgu Centralnego oparta została także na budowie urządzeń podstawowych w dziedzinie energetycznej. Budowa i instalacja linij elektrycznych o wysokim napięciu, która obejmuje już prawie cały teren Okręgu oraz ukończenie budowy rurociągów dla gazu ziemnego — oto etapy najbardziej podstawowe tworzenia C. O. P.

Niedawno oddany do użytku gazociąg, doprowadza gaz ziemny z zagłębia naftowo-gazowego jasielsko-krośnieńskiego, mianowicie z Roztok, przez Jasło, Kolbuszową, Tarnobrzeg i następnie przez Sandomierz do Ostrowca i Starachowic.

Stosunkowo mało znany i rzadko w technice stosowany posiada gaz ten bardzo wszechstronne możliwości zastosowania go dla celów przemysłowych, jako surowiec energetyczny.

Gaz ziemny występuje najczęściej na obszarach roponośnych, łącznie z ropą naftową lub samodzielnie. Z pośród krajów europejskich najszerzej wyzyskany jest gaz ziemny w Polsce i w Rumunii.

Polska posiada cztery ośrodki produkcji tego gazu:

1) rejon jasielsko-krośnieński w zachodniej części Małopolski.

2) i 3) rejon naftowo-gazowy borysławski i czysto gazowy daszawski w środkowej Małopolsce.

4) we wschodniej części Małopolski: rejon naftowo-gazowy bitkowski.

Najbogatsze w gaz ziemny jest pole gazowe daszawskie, którego zasoby są obliczane na około 20 miliardów metrów sześciennych.

W rejonie pierwszym, w miejscowościach Roztoki i Sobniów zapasy gazu obliczone są na około 5 miliardów mtr. sześć., a ciśnienie naturalne gazu dochodzi tam do 120 atmosfer.

Rejon bitkowski jest na razie wykorzystywany tylko do celów lokalnych.

Poszukiwania i wiercenia są ciągle prowadzone, odkrywając coraz to nowe pokłady gazu na terenie Małopolski. Na podstawie dotąd odkrytych i eksploatowanych złóż, zasoby gazu ziemnego w Polsce można oceniać na około 30 miliardów mtr. sześć., jednak coraz to nowe odkrycia, każą wierzyć, że cyfra ta będzie stale wzrastała.

W dziedzinie produkcji na terenie C. O. P. szybkimi krokami idziemy naprzód. Szczególnie dobrze zapoczątkował przemysł swą pracę w działach: metalowym i chemicznym. Jako najważniejsze w tej dziedzinie inwestycje wymienić należy budowę wielkiej fabryki silników P. Z. L. i fabryki obrabiarek Cegielskiego w Rzeszowie, olbrzymiej huty dla produkcji szlachetnej stali w Stalowej Woli, fabryki celulozy w Niedomicach, fabryki syntetycznego kauczuku w Dębicy i t. d.

Aby ocenić wpływ prac w C. O. P. na życie gospodarcze Polski wystarczy podać parę przybliżonych cyfr statystycznych z dziedziny zatrudnienia. Oto w ciągu roku 1937 ilość bezrobotnych na terenie C. O. P. spadła z 40 na 2 tysiące. Poza tym inwestycje w C. O. P. dały w przemyśle instalacyjnym i hutni-

czym reszty Polski zatrudnienie conajmniej 15 do 20 tysięcom robotników.

Do tego dodać należy wzrost siły nabywczej rolnictwa na terenach inwestowanych i pamiętać, że są to dopiero początki.

Zważywszy dalej na przeludnienie wsi polskiej, (szczególnie na terenie C. O. P.), należy określić budowę Okręgu, jako wstęp do przekształcenia struktury gospodarczej Polski, dla stworzenia jednolicie działającego organizmu gospodarczego, podniesienia dynamiki, samodzielności ekonomicznej i stopnia pogotowia wojennego kraju.

A więc: kuracja strukturalna na wielką skalę zakrojona i potężny zastrzyk aktywizmu gospodarczego.

W. Nowakówna kl. IV G. Ż.

OGNISKO POTĘGI I SIŁY

Centralny Okręg Przemysłowy

C. O. P.

Śląsk da mu węgiel, Podkarpacie — gaz, Rożnów — elektryfikację, a kto mu da siłę, moc, rozpęd wieków?

My Polacy!

Myśl stworzenia okręgu rzucił spadkobierca idei Lubeckiego i Tyzenhauza, twórca Gdyni — inż. Eugeniusz Kwiatkowski. Pracami nad tworzeniem C. O. P. pod czujnym okiem min. Kwiatkowskiego będą kierować polscy inżynierowie. **Budować** natomiast będzie **cała Polska!**

Bezpośrednio, czy pośrednio, musimy się przyczynić do powstającego dzieła!

Pokolenie uczestników walk o niepodległość mówi: „Dzięki nam Polska powstała". My powinniśmy kiedyś móc powiedzieć: „Tylko dzięki nam powstał Centralny Okręg Przemysłowy".

Regulacja rzek i melioracja Polesia, będzie należała do dalszych pokoleń. Do nas należy rzecz obecnie w Polsce najważniejsza — budowa C. O. P.

Drogi, fabryki, osady — wszystko to musi stanąć dzięki wspólnemu wysiłkowi obywateli naszej ojczyzny.

W C. O. P. nie powinno być obcego kapitału.

Cenniejszą jednak od kapitału będzie praca ludzka.

Dziś nie doceniamy wartości ludzi i czasu, a zbyt wysoko cenimy kapitał. Ludzi nie doceniamy, bo ich mamy zbyt dużo. Nadmiar ten pochłonie C. O. P.

Ludzi będzie się wtedy cenić.

Przy tworzeniu dzieł wielkich konieczna jest wiara w powodzenie — wiara we własne siły. Bez niej lepiej prac nie zaczynać.

Czy u nas jest wiara w możność zbudowania projektowanego C. O. P.?

O rozbudzenie tej wiary w społeczeństwie stara się min. Kwiatkowski i to mu się — jak sądzę — udaje.

Są wśród nas tacy, którzy o planach gospodarczych państw obcych wyrażają się z uznaniem, a o planach gospodarczych Polski z lekceważeniem. Tych min. Kwiatkowski nie przekona. Trudno przekonywać ludzi, którzy wszystko, co przywędruje zza granicy, uważają za bezapelacyjnie dobre, a wszystko, co powstaje w kraju, za liche. Zresztą na pozyskaniu tych ludzi niewiele zyskalibyśmy, gdyż są to przeważnie jednostki, którym brak wszelkiej inicjatywy w działaniu i wiary we własne siły. Potrafią oni tylko oceniać

(najczęściej błędnie, bez znajomości rzeczy), a nie działać.

Wspólnym wysiłkiem stworzymy Centralny Okręg Przemysłowy. Dzięki niemu odludni się polskie wsie, zmniejszy się do minimum ilość jednostek nieproduktywnych w państwie, wykorzysta się bogactwa mineralne kraju, uprzemysłowi się te dzielnice, których ziemie w przeważnej części nie nadają się do uprawy, umocni się stanowisko mocarstwowe i gospodarcze Polski w świecie. Polska stanie się państwem rolniczo-przemysłowym.

Widząc, co nam może dać Centralny Okręg Przemysłowy, musimy wytężyć wszystkie siły, aby ile możności przyczynić sie do jego powstania!

Wiara! Czyn!... a potem plony.

Domański Zdzisław kl. VIII G. M.

Bernard Rduch G. M.

WIELKI PIEC

Stał dumnie; szeroki, szamotowy
w gruncie betonowym,
czarny, okopcony sadzami,
skuty mocnymi obręczami
— wielki piec!
— — — — — — — — — —
Grube, stalowe liny
wciągały wagoniki z doliny
w zwyż, w górę —
na piec.
Potem sypały się w otchłań,
w czeluść — w pieca dziurę
koksu całe masy,
kęsy żelaza... rudy,
wapnia siwego grudy —
Powtarzało się to
co pewien czas — —
I jeszcze raz... Jeszcze raz
sypano w głodną paszczę
smoka! — w wielki piec...
Możnaby rzec
że potwór —
Co on zjadł!...
Co wpadło
w lejkowaty jego otwór!...
Aż nareszcie po brzeg
został wypełniony.
— — — — — — — — — —
Piec sapał, dyszał
i dudnił hałasem;
w jego wnętrzu kotłowało... szalało...
Wyczuwało się... wyczuwało
poprzez ściany szamotowe czasem
tę burzę diabelską, spętaną,
ognistą, niepohamowaną,
ten straszny skwar! —
piekielny żar!! —
. . . .
A piec sapał, dyszał
swoim grubym basem...
— — — — — — — — — — — —
A ci ludzie
pracujący przy piecu
byli maszynami!
Nie czuli własnym sercem
własnymi myślami.
Byli cząstką tego ryku,
przeraźliwego krzyku:
— dynama, krany, młoty,
koła... rozjuszone maszyny,
lokomotywy, szyny
biegnące z różnych stron;
para, zgęszczone powietrze!...
Na każdym kroku — metrze:
— Uwaga!... Stój!!
Smierć na ciebie czeka!...
Wspomnij dom twój! —
Niech cię strzeże Bóg!...
. . . .
Ogień — wróg
— Przyjaciel człowieka — —

Krzątali się koło pieca,
poprawiali w piasku grzędy;
żelazne odpadki rzucali
w najbliższe wagonów rzędy;
kopali, równali rowy... —
Gdy zaś wszystko było gotowe,
czekali... czekali
ostatniej godziny.
. . . .
A każdy z nich słyszał,
że dudnił hałasem;
że sapał i dyszał
swoim grubym basem...

— potężny wielki piec.
— — — — — — — — — —
Nadeszła ostatnia godzina!! —
. . . .
Przebili zalepiony otwór
żelazną sztabą —
I płynęła lawa
wygrzebanymi rowkami
niczem struga słońca...
bez końca... bez końca —
. . . .
A piec sapał, dyszał
swoim grubym basem.

GÓRY...

Góry!...

Dziwne słowo, dziwny jakiś wdzięk posiada, który każdego zachwyca, każdego czaruje i jakieś niesamowite uczucia wywołuje.

Góry!... Przedmiot marzeń młodzieńczych lat, młodzieńczych snów! Jakżeż zachwycające jesteście w swym pięknie nieskalanym, jakżeż upajające swym powietrzem balsamicznym, jakżeż niedościgłe w swych szczytach niebosiężnych!

Bo, gdy spojrzy się na te potężne, ku niebu piętrzące się skały, co wierzchołkami swymi chmury się szarpać zdają, a pod sobą bezdenne przepaście otwierają, gdy spojrzy się na te turnie, do których, zda się „nigdy nie doleci podły, nikczemny ziemi dech", to jakieś dziwne uczucie człowieka ogarnia, jakieś nienasycone pragnienie patrzenia. „Tam wicher tylko wyje, tam grom tylko ryczy, tam jęczy tylko grad — tam nic niema, prócz pustki, potęgi i dziczy, tam przestrzeń!..." Chciałoby się wchłonąć w siebie ów cudny widok i na zawsze go przed oczyma duszy zatrzymać. Mimowoli wyrywa się cicha błagalna prośba: „Szczycie górski! Podnoszę ku tobie źrenice, podnoszę tęskny wzrok — daj mi, o! daj mi jedną twoją błyskawicę, daj mi jeden blask czysty, co przez twe śnieżyce i mgieł przelata mrok!"

Stanąć tak na szczycie śniegiem owianym, wbitym w obłoków szron, wzrokiem tęsknym wokół powieść, w dal go zapuścić, w dal niezmierzoną, nieprzebytą: ku lepszym czasom, ku nowemu życiu! Wzbić się ponad przepaście urwiste, których jeno kozice w biegu dotykają, gdzie jeno orły polatują i z pod obłoków na ciemną ponurą ziemię spoglądać! Po stokach gór nieprzebytymi lasami pokrytych, po ścieżynach urwistych, wśród przepaści bezdennych przebiegać z szybkością wiatru! I chciałoby się wołać głośno, potężnie:

„O wichrze, wichrze! Wyrwij moją duszę z ciała i nieś ją w powietrzne głębiny! Nieś ją kędy chcesz, nieś ją szalonym podmuchem w dale nieznane. Niech duchem skrzydlnym się stanie — niech ogarnie i zrozumie nędzę, ból i cierpienie".

„er" lic. h.



K. Popek

Bernard Rduch

NA NARTACH

Dzień słoneczny, mroźny;
śnieg wymarzony! — nośny...
Stoimy wszyscy w szeregu
na nartach — w puszystej bieli —
w mozaikowym śniegu
— my! młodzi, zdrowi, weseli.
— Wtem rozkaz, by ruszyć...
(...by w całej pełni zimy użyć)
Odbijamy się kijkami —
— suniemy...
miarowo... wolno
przez ten świata cud.
Za nami
zostają metry;
zginają się równo
kombinezony, swetry
i nucą, niby z nut:
— Kijek wprzód — noga wprzód...
Po chwili przyjmuje nas
w swe objęcia las.
Mijamy ośnieżone drzewa,
które rosną na gór łonie.

Patrzymy na nie —
na zaklęte w białym szronie —
Każdy dziwną rozkosz miewa...
Wszystko milczy
— cały bór.

. . . .

Ach! jak tu pięknie
wśród tych gór.
Zaczarowani wyjeżdżamy z lasu.
Przed nami upragniony zjazd —
— stoimy i patrzymy w dolinę jeszcze
i — — ruszamy — wreszcie...
wpierw wolno,
(słychać wszystko z bliska)
potem szybciej, prędzej,
prędzej! — prędzej!!
aż nam wiatr oczy wyciska;
— wiatr — przed nami!
— wiatr — przy nas!
ostrzem swoim pije twarz.
Uszy w klapach nic nie słyszą...
Płuca nasze nic nie dyszą...
Szybciej! — Prędzej! — Gaz!!
Pędź wytrwale przeciw wietrze! —
— — tylko jęk śniegu
w szalonym tym biegu
przenika powietrze — —
— — Uwaga!! — Uwaga!!!
Zakręt!. — Skręt!!!
Oporami wstrzymać pęd!!

Wpierw w prawo, potem w lewo,
gdzie samotne stoi drzewo!
— Uważaj!! — — Hahaha!...
„Tuhesmarkiem" sobie pada...
Narty, głowa... cały w śniegu leży... —
— Co?... — w jego stronę któryś bieży?!
— Halo! bracie! koziołków nie fikaj
i w miękki śnieg nosa nie wtykaj!
— A on — jednak pada.
Za nim drugi! — trzeci!! — —
Na Boga! — czy mnie myli wzrok?!
Ci taksamo do nich lecą!!!
Uciekać!! — krzyczą — Na bok! Na
boook!!!

. . . .

Wtem słyszymy straszny trzask — —
Głowy, swetry, kijki, narty —
wszystko wpadło na się wraz
i to — Boże! — nie na żarty:
— twarze szrenią poorane,
narty całkiem połamane...
— Wstają — z trudem — chłopaki;
deski biorą do ręki
i depcą za nami, jak raki.
(to skazańcy idący na męki,
jakby czekał na nich kat.)

Po godzinach już wracamy
do swych kwater — do swych chat.

—o—

W NOC ZIMOWĄ

Drzemie wioska biała
W mroźną noc zimową
Jedno okno świeci
Różą purpurową.

Drzemie wioska srebrna,
Otulona snami —
Jedno okno płonie,
Rozmawia z gwiazdami.

Opowiada gwiazdom
Dawne serca dzieje,
W bezsenności czeka,
Aż znowu zadnieje.

Dziwują się gwiazdy,
Mrugają oczami —
Drzemie srebrna wioska
Otulona snami.

W. W.

NA NARTACH

Zima. Cisza wielka, narodzona z gwaru osiadła w całym kraju. Razem z zimą rozpoczęły się wszelkie sporty. Lecz chyba do najprzyjemniejszych należy narciarstwo. Gdy ziemia otulona białym całunem śniegu spoczywa, gdy cichość jakaś dziwna i tajemnicza spowije moją wioskę, wtedy zakładam narty i puszczam, zda się, w kraj świata. Mknę szybko, jak strzała po drogach wąskich, przy których spoczywają zmurszałe, przygarbione chaty. Drzewa w swojej zimowej skrzącej się szacie, patrzą na mnie zdziwione.

— Gdzie to?... gdzie jedziesz dziewczyno?... gdzie? — pytają skrzypem swych konarów. Uśmiechając się lekko mijam je i sunę dalej, zostawiając za sobą nikły ślad.

Sunę w śnieżne bezkresne obszary pól. Tu dopiero czuję się dobrze. Bo czyż nie przyjemnie jest lecieć, jak ptak po białym nieskazitelnie czystym dywanie od którego aż wzrok się zaćmiewa? Czuję w koło siebie taką ciszę, widzę takie piękno natury, że zostaćbym tu chciała na zawsze. Lekki, lecz mroźny wiatr muska moją twarz i pcha mnie ku błyszczącym śnieżnymi iskrami górom. Nęcą mnie one i przytłaczają swą potęgą. Ich niebotyczne szczyty stoją groźne i dumne, jakgdyby mówiły: „biada śmiałkom, którzy się odważą tu wejść". Pomimo groźby pnę się na szczyty i staję zadumana nad przepaściami.

Wdycham świeże pachnące, cudne powietrze gór. I obejmuję wzrokiem kochającym te wioski widniejące w dali, te pola ojczyste, te ciemne lasy. A w sercu czuję taką radość, że aż mi dech zapiera. I setny może raz dochodzę tu, na tych górach do przeświadczenia, że kocham swą ziemię rodzinną, ziemię ojców moich.

Kocham tą ziemię miłością najświętszą, najczystszą. I Wśród niebezpieczeństwa gór zanoszę do Boga molitwę i dziękuję Mu serdecznie za to, że taki piękny, pełen uroku stworzył świat. I sercem przepełnionem jakiemś uczuciem, którego nie umiem określić, wracam. Drzewa wydają się jeszcze bardziej zdziwione, gdy staję opodal nich i mówię im coś długo. Później wracam do domu, zdejmuję narty i myślę samotnie w zaciszu pokoju o tym, że znów w najbliższym dniu pojadę na nartach do tych ukochanych gór i pól, szukać nowych terenów i wrażeń.

„**Wróżka**" kl. I G. Ż.

WICHER

Wichrze mroźny, wichrze zły,
Nie przestajesz polem wiać
Tyle nocy, tyle dni!
Ziarno chce pod śniegiem spać —
Twoich skrzydeł groźny ruch
Ciągle zwiewa biały puch.

Wichrze groźny, wichrze zły,
Na nic gniewu twego moc,
Muszą minąć chmurne dni,
Tak, jak musi mijać noc.
To, co pragniesz w nicość zwiać,
Będzie rosnąć, żyć i trwać!...

W. W

NA KURSIE NARCIARSKIM W ZAPASIEKACH

Pociąg piął się pod górę. Co chwila któryś z naszych „narciarzy” wychylał się niecierpliwie przez okno wagonu i słysząc bezlitosne „jeszcze nie”, siadał z powrotem na twardej ławce III klasy. W kącie wagonu siedział pewien kolega o minie wielce poważnej i zatroskanej, snując myśli o górach, o których tak wiele słyszał — o tym, jak to on z tak wielkich gór będzie zjeżdżał, przede wszystkim zaś o tym, jak to będzie z lekcjami, które podczas kursu miały się odbywać. Zrzuciwszy walizkę na głowę swego sąsiada — obudził go poto, aby przekonywać go, że lekcje podczas wycieczki to jest rzecz niedopuszczalna, bo wycieczka musi być wycieczką.

Naraz „Zwardoń. Wysiadać!” jak piorun przeleciało przez wagon. W minucie, jak to na P.W. (zwłaszcza ostrowieckie) przystało, znaleźliśmy się na dworcu.

Zwardoń. Mała stacja graniczna. Zbiórka, załadowanie bagaży na sanie, śniadanie, no i odmarsz do Zapasiek.

Tu dopiero rozległ się płacz, jęk i narzekania. 12 km. na nartach, pierwszy raz — to coś „nie bardzo”. Powoli jednak dali się ci oporniejsi „udobruchać” i wreszcie ruszyliśmy. Słońce, uśmiechając się pobłażliwie, przyświecało tej naszej pierwszej wędrówce.

Posuwaliśmy się żółwim krokiem tylko dzięki „maruderom”, którzy zbyt często przysiadali na ziemi. Nareszcie po „długich i ciężkich cierpieniach” przywlekliśmy się wreszcie do Zapasiek, celu naszej podróży.

* * *

Zapasieki. Mała wioska góralska. Stanęliśmy przed niewielkim budynkiem szkolnym. Przywitał nas kierownik kursu, człowiek miły i ujmujący. Po obiedzie odmaszerowaliśmy na kwatery. Tego samego wieczoru skusiliśmy się jeszcze na kilka pięknych zjazdów z pobliskiej góry. Wprawdzie często kończyły się one przykrymi upadkami, ale przecież przywykliśmy już do tych niespodzianek podczas marszu. O 7-ej godz. dostaliśmy kolację, po której nastąpił pierwszy wykład naszego kierownika „o pierwiastkach czyli początkach sztuki narciarskiej traktujący”.

* * *

Na kwaterze. — Czegóż się tak roisz, Stefek. Czy cię co gryzie? — E, nie, tylko widzisz, nie daje mi spokoju ta fizyka, co to jutro ma być; żeby to chociaż polski, to by się człowiek mógł zdrzemnąć trochę za czyimi plecami, a tak — to cóż? — Spij, śpij, jakoś tam będzie — zakończył filozoficznie tamten i chrapnął niby nosorożec.

* * *

Rano znów zbiórka, modlitwa, śniadanie, a potem 2 godziny lekcji (jak te zegarki tam wolno chodziły, zwłaszcza w rannych godzinach!). Drugie śniadanie i ćwiczenia na placu lub wycieczka w teren, były dopełnieniem rannego programu. Szybko opanowaliśmy technikę jazdy na nartach (poszczycić się możemy, że w jeździe na nartach dorównaliśmy pięknym Zapasieczankom); St., który początkowo czuł nieprzezwyciężony wstręt do nart, a to z powodu przestrogi p. kierownika, że „drzewa tu szczególną moc przyciągania narciarzy posiadają”, mawiał teraz często, że woli 2 godz. na nartach jeździć (w tym 1 godz. leżeć), niż 2 godz. się uczyć. Nie uwzględniał jednak zasady, że przy zjeździe należy mieć nogi ugięte; zobaczywszy raz bowiem, jakąś uroczą góralkę, jeździł od tej pory wyprostowany, jak na defiladzie i nikt go już od tego odwieść nie zdołał (taki już z niego uparciuch).

Po powrocie z ćwiczeń terenowych

biegł każdy „na wyrywki" na obiad do sali, w której staczano zazwyczaj zaciekłe walki o każdą piędź ziemi, przed dymiącym grzybową lub grochową zupą garnkiem. Najlepiej, jak to jeden z pp. profesorów stwierdził, smakowała wszystkim zupa grzybowa. Niejeden chłopczyna nie mając słów pochwały (oczywiście tylko na sali) dla obiadu, „który był bardzo dobry i wszystkim smakował", biegł na kwaterę, wyciągał z plecaka zapasiki, które przezorna mamusia tam umieściła



K. Popek

w obawie, aby synalek nie schudł (dobre te matki!) i żuł w milczeniu te „dary Boże".

* * *

Szybko leciały chwile wśród ćwiczeń, wycieczek w pobliskie okolice, zabaw wieczornych i gawęd z góralami. Zdrowi, opaleni, pełni wrażeń i wzruszeń żegnaliśmy po tygodniu miłą wioskę Zapasieki i jej mieszkańców. „er" I lic.

GÓRALE - ARTYŚCI

W drodze powrotnej z Zapasiek do Wisły zwiedziliśmy pracownie dwóch artystów: Konarzewskiego i Wałacha oraz muzeum góralskie znajdujące się pod opieką Konarzewskiego. Do najciekawszych obiektów tego muzeum należą: wnętrze chaty góralskiej ze starym kominem, pięknie rzeźbionym stołem, krzesłami i szafą, ludowe wyroby rzeźbiarskie, ceramiczne, tkackie i koronkarskie, kołowroty i warsztaty tkackie, instrumenty muzyczne, jak gajdy (zakopiańska kobza), trombity i wiele innych ciekawych rzeczy.

W tym samym budynku mieści się również pracownia Konarzewskiego.

Konarzewski jest rzeźbiarzem, malarstwem zajmuje się mniej. Bardzo ciekawy ze względu na pomysł i kompozycję jest jego obraz „Polska w niewoli", w którym przedstawia Polskę, jako piękną niewiastę, męczoną przez węża, smoka i jakąś potworną hydrę, symbolizujące trzech zaborców.

W pracowni rzeźbiarskiej, w której są wykonywane na zamówienie ołtarze i rzeźby do kościołów, pracuje pod kierownictwem Konarzewskiego kilkunastu jego uczniów.

Z pod jego dłuta wyszedł ołtarz w kościółku Najśw. Serca Jezusowego w Ostrowcu.

U Wałacha podobały nam się przede wszystkim drzeworyty, akwarele i szkice. Obrazy olejne były mniej udatne.

W Istebnej oglądaliśmy kościół, w którym malowidła ścienne wykonywali obydwaj artyści, a barokowe ołtarze i ambonę Konarzewski. Aniołów na malowidłach ściennych ubrali artyści w stroje góralskie, co miejscowa ludność przyjęła z ogromnym oburzeniem. Na bocznej ścianie prezbiterium widnieje duży obraz przedstawiający papieża Piusa XI, p. prez. Mościckiego i wojewodę śląskiego Grażyńskiego. Oczywiście ten ostatni nie licuje ani z miejscem ani z nastrojem.

Pod koniec wizyty u p. Wałacha usłyszeliśmy wykonaną przez niego na gajdach melodię ludową.

O. P. lic. m. f.

WSPOMNIENIA Z ZABAWY

Na przekór twierdzeniom, że „zobaczycie co za fiasko będzie z zabawy" udała się ona bardzo dobrze (wrażenie własne i naszej klasy).

Któż może sobie wyobrazić nasze zdziwienie i przerażenie (gdyż nie wszystko jeszcze było gotowe), kiedy w kilkanaście minut po czwartej, zauważyliśmy gromadkę młodzieńców, zdążających w naszą stronę. Chwali się bardzo ta punktualność i zaleca innym, ale niestety nie byłyśmy na to przygotowane, o czym świadczy późne przybycie orkiestry.

Powodzenia zabawy dowodzą nie tyl-

ko zyski, ale i przybycie Kolegów z innych miast. Jeden z nich, biało urękawiczony i w pstrokatej muszce podbijał masowo serca. Szkoda jednak, że zwyczaj białych rękawiczek nie zakorzenił się u nas. O ile czyściejsze byłyby nasze bluzki!

Poza tym stawił się cały zastęp młodzieży płci obojga, aby użyć po raz drugi w tym karnawale przyjemności zabawy.

Pierwszym moim wrażeniem po wejściu na salę (jeszcze przed przybyciem orkiestry) było t. zw. „żydowskie wesele" — z jednej strony dziewczynki, z drugiej chłopcy. Dopiero taniec zmieszał ich razem. Odnaleźli się ci, którzy się chcieli odnaleźć, inni zawiedzeni musieli jeszcze poczekać w pobliżu wejścia, inni zaś rzucili się w wir zabawy bez szukania i wybierania.

Jednak nie wszyscy szukający i szukani zgadzali się. Oto para złożona z dwóch dziewczynek, przeprowadza swój „stratégeme" zręcznie unikając spotkania z chcącymi je rozbić. Co zrobić jeśli chłopcom przysługuje prawo wybierania, a my nie możemy odmówić.

Uciekanie zresztą nie było trudne, dzięki poparciu wodzireja, który chętnie pomagał wszystkim uciekinierkom. Wodzirejowi w ogóle należy się podziękowanie i za dobre prowadzenie i za nie specjalne utykanie, przy dojściu do... no do tego, do kogo się chce.

Nastrój romantyczny z jednej strony, a z drugiej wesoły panował w małej sali. Romantyczna była „kanapka" pod figusem z lampionem na gałęzi (niczem Riviera) no i pary tam siedzące. A poza tym: „śmiech to zdrowie".

Śmiejemy się zresztą z byle czego, ale oto parę scenek, które nadały nam powód:

Np. Jeden z kolegów chciał wypić szampana z pantofelka swej towarzyszki. Ostatecznie zdobył tylko ten oryginalny kieliszek. Szampana mimo skrzętnych poszukiwań nie mogliśmy znaleźć.

— Jedna z par popisuje się swymi zdolnościami choreograficznymi w walcu angielskim. Robią wrażenie, mających takie ładne, małe, fioletowe kwiatki w głowie, ale humor jest.

Oto „wpływa" na salę para, najwyższa ze wszystkich. Pasują do siebie wysokością, ale kłócą się zawzięcie i znów przepraszają. Zdaje się, że na tym ostatnim (t. j. na przeprosinach) zakończyło się, o ile mogę sądzić z obserwacji na Alei, w niedzielę rano.

Następnie pragniemy zrobić trochę nastroju, okręcając lampę pomarańczowym papierem. Stają wysocy i wyżsi, wchodzą na krzesełko i na głowy sobie, ale ostatecznie dzieła dokonał ten najmniejszy.

Humor, ogólnie biorąc, był.

W smętny nastrój mogło wprowadzić jedynie „Przy kominku" i tragiczne „Nie będę Cię prosił" (nawiasem mówiąc b. ładne i b. ładnie „zrobione"). Wspomnienia te będą nam rozweselały czas postu i przetrwają do następnej zabawy. A pamiętajcie, że ta może być dopiero po Wielkanocy, czyli na wiosnę, czyli niedaleko wakacji!!!

„Gri" I liceum G. Ż.

Tą drogą chcemy podziękować p. prof. M. Badeckiej za pracę włożoną w zorganizowanie naszych zabaw.

Samorząd Gimn. Żeńsk.

MÓJ PIERWSZY WYWIAD

Z niecierpliwością oczekiwałam audycji recytatorskiej p. Rychterówny, ponieważ ją poznałam w czasie ostatnich wakacji w Krynicy.

Po wysłuchaniu zaś poranku, który mi się bardzo podobał, zrodziła się w mej głowie myśl, by pójść do niej i zrobić coś à la wywiad dla „Szkolnej Ławy" no... i odświeżyć dawną znajomość. Dodała mi otuchy i zmniejszyła tremę Wiesia, którą wzięłam do pomocy w razie, gdybym, jak to się mówi „języka w gębie zapomniała". Idziemy więc i zatrzymujemy się przed drzwiami garderoby. Pukać, czy czekać? Wiesia radzi pukać, lecz co odpowiemy, gdy padnie pytanie: kto tam? Słychać z za drzwi głosy rozmowy, a więc p. Rychterówna nie jest sama. Zrobiło nam się jeszcze niewyraźniej. (Jak się potem okazało gościem tym była nasza p. Dyrektorka). Serce mi biło tak, iż myślałam, że aż w garderobie słychać. Wreszcie zrodził się w nas duch bohaterski i zdobyłyśmy się na odważny krok. No, było nie było. Mocno puka Wiesia — klamka zapadła. W przenośni i naprawdę, bo w tej chwili drzwi się otwierają i staje w nich cel naszej wizyty: p. Rychterówna. Witamy się (ukradkiem zerkając w stronę p. Dyrektorki, która wyraźnie jest zaskoczona naszą wizytą) p. Rychterówna pyta:

— Pewnie przyszły panie po autograf, czy może... podziękować mi?

Naturalnie trema zatkała mi w gardle, lecz „panie" dodało mi wiary w siebie, toteż szybko przełknąwszy ślinę odpowiadam:

— Tak, przyszłyśmy podziękować i... (Jak tu zacząć u licha?!).

— Poprosić panią o wywiad dla naszego pisemka „Szkolnej Ławy" — kończy Wiesia prosto z mostu.

Widzę, że p. Rychterówna jest trochę zdziwiona. Może pomyślała, że jesteśmy nie dosyć dorosłe do robienia wywiadów? (Niedorosłe piszę bynajmniej nie w celu ujęcia sobie powagi).

— No, a co chciałyby panie wiedzieć?

W tym momencie w głowie mej powstaje dokładny obraz wszystkich ułożonych pytań i frazesów.

— Prosimy, aby pani nam odpowiedziała na kilka takich zwyczajnych prostych pytań. — (Może nie wyraziłam się dokładnie tak samo, lecz proszę wierzyć, że miałam po temu szczerą chęć. Bardziej prawdopodobne jest bąknięcie kilku niewyraźnych słów towarzyszących silnemu rumieńcowi). — Naprzykład dziwi nas niezmiernie pani pamięć. Tyle wierszy, no i proza przecież!...

P. Rychterówna uśmiechnąwszy się daje nam odpowiedź:

— Nie pierwszy raz spotykam się z tym pytaniem, lecz nie jest to rzecz tak nadzwyczajna, jak się paniom zdaje. Francuzi dobrze się wyrazili: na pamięć, oni przetłumaczyli: przez serce (parcoeur). Utwory, które mam wygłaszać muszę najpierw zrozumieć, wziąć do serca. Wtedy mi o wiele łatwiej zapamiętać. Naturalnie dobra pamięć też swoje robi.

— A nie sprawia pani trudności wymawianie tak szybko, jak np.: w „Lokomotywie" Tuwima, czy innych?

— No, to już jest sprawa techniki. Tak jak do gry na fortepianie trzeba mieć dobrze wyćwiczone palce, tak do recytowania dobrze wygimnastykowany język. Tak samo trzeba mieć praktykę.

— A czy można spytać jakie utwory więcej pani odpowiadają: smutne, czy wesołe?

— No, a jak panie myślą?

— Chyba zależy od nastroju... — próbuję ostrożnie.

A widzi pani. Człowiek ma różne zainteresowania. Źle byłoby, gdyby nie potrafił zrozumieć rzeczy poważnych, lub nie miał w sobie poczucia humoru. Czy nie prawda?

Kiwnęłyśmy głowami na znak, że rozumiemy.

— Jeszcze jedno pytanie: Czy teraz robi pani tournée, czy tak poprostu wyjechała pani z...

— ... Warszawy — podtrzymuje p. Rychterówna. — Tak jeżdżę po całej Polsce przez 7 miesięcy w roku i w różnych miastach mam występy, ale w każdy poniedziałek jestem w domu. Czy to wszystko?

Choć z żalem, muszę powiedzieć „tak" bowiem w mózgu nie mogę znaleźć pytania takiego „do rzeczy". Serdecznie podziękowawszy p. Rychterównie za udzielenie nam tego, co sama nie śmiem nazwać wywiadem, opuszczamy garderobę, by zapełnić żołądek, już oddawna grający marsza.

Podskakujący Pierwiosnek
II kl. Gimn. Żeńsk.

NIUSIA JEST W TRZECIEJ KLASIE

Z cyklu: Typy i sylwetki.

Nie chciałem o tym pisać. No bo jest wiosna i powinno się pisać na bardziej aktualne tematy. Wiosna jest piękna, można więc w rozmarzeniu robić i inne głupstwa, np. wstać o dwunastej, zabrać książki i iść do szkoły, można napisać do pensjonarki list, w czerwonej kopercie, można się pokłócić z polonistą na temat prometeizmu, lub zgoła napisać sonet do „Orędownika".

Jednak pomijając głupstwa (które zresztą każdemu się zdarzają) napiszę rzecz poważną. Ale jak rozumieć słowo: poważną. Bo poważny jest zawsze artykuł wstępny w „Szkolnej ławie" (pisany z reguły przez kogoś z redakcji), poważne są kolumny „Wiadomości Literackich", poważne — a niekiedy zgoła pogrzebowe — są humoreski przysyłane do naszego pisemka, poważna wreszcie jest jedna koleżanka z kl, VIII G. Ż. (zgadnijcie która!)

Ale przepraszam — poważny jest jeszcze jeden maturzysta (o czym już pisałem), prezydent miasta, p. dyrektor, zawiadowca stacji no i koleżanka z trzeciej klasy.

Gdybym o tym wszystkim napisał tasiemcowy artykuł z pewnością ludzie „umieraliby ze śmiechu", zarzuciliby „Wróble na dachu" na rzecz „Szkolnej ławy". (A nakład pisemka dwoił by się, troił... dziesięciokrotnił).

Mam wspaniałe pomysły... Roi mi się od nich w głowie, troi... dziesięciokrotni. Jeszcze zostanę sławnym człowiewiekiem (widzę wasze uśmiechy).

Narazie pragnę mieć spokój, chcę rozmyślać o pięknie (w różnych postaciach). Otóż to piękno w postaci naszych koleżanek (co za kurtuazja!) można zawsze i wszędzie spotykać. Gdy wychodzę po południu do miasta widzę i obserwuję te koleżanki. Idą z mamami, tatami, braciszkami i (najczęściej) z kolegami. Jestem niedyskretny, ale to przecież nic. To wszystko z dobrej woli.

Właśnie jestem na mieście. Niusia (wracam do tematu) gdzieś śpieszy. No, No! — Niusia to co innego. Niusia jest w trzeciej klasie i na wszystkich patrzy z góry, niczem Sławska z estrady. Krok jej jest energiczny, pewny siebie, a równocześnie taki łagodny, taki dziewczęcy... Wygląda to tak, jakbym się w niej ko-

chał po uszy, niczem sztubak z powieści Zarzyckiej. Ale nie, wielu było i jest takich, którzy mnie uprzedzili. No i cóż mam robić? Bardzo wdzięczne, a jednocześnie bardzo poważne zagadnienie.

Bo już takie są te koleżanki, a przynajmniej taka jest Niusia. Wspomnieć o czymś, co je intersuje, co ich dotyczy, zaraz cię zakrzyczą, że przecież jest samodzielność, emancypacja i... (tu wymieniają kilkanaście obcych wyrażeń, wybranych z jakiegoś leksykonu). Ho — ho — minęły dawne czasy, kiedy to kobieta była czymś niższym od mężczyzny. Wiadomo: Niusia jest kobietą samodzielną, Niusia jest emancypantką. Niusia jest w trzeciej klasie, a to upoważnia do poczucia wyższości nad całym światem uczniowskim. Niusia na każdym zebraniu zabiera głos, („podobnież" ma dobre pomysły), na każdej pauzie dyskutuje na temat samorządu szkolnego z najpoważniejszymi osobistościami gimnazjalnymi, Niusia się denerwuje, gdy ktoś się jej nie ukłoni i t. d. Tylko niekiedy na klasówce zapomina Niusia o emancypacji, staje się wtedy zwykłą, biedną sztubaczką. Z wyżyn swojego dostojeństwa, z wysokości swej trzeciej klasy (dawna piąta) schodzi do rzędu zwykłych istot uczniowskich.

W szkolnym życiu organizacyjnym bierze zawsze bardzo czynny udział: zebrania, projekty, referaty (chociaż w tym ostatnim bije ją jedna koleżanka z liceum). Niusia lubi bardzo sport, książki (romanse), kino. Och, narty, kino! Skacze na nartach, jak sam Marusarz, a kino... Mój Boże, żeby to być taką, jak Marlena. Niusia często chodzi do kina, może zresztą sama będzie aktorką. Kto wie?... Głos ma niezły, więc nic niby nie stoi na przeszkodzie do osiągnięcia zawrotnych szczytów kariery. Uchodzi w całym gimnazjum za pierwszą siłę aktorską, ma szalone powodzenie, koleżanki młodsze i starsze zazdroszczą jej, ale ona nikomu nigdy nie zazdrości. Po prostu nie ma czego zazdrościć. Zresztą mniejsza o to. Chcę już zakończyć.

Lecz przepraszam, jeszcze momencik... Niusia zwierzyła się raz jednemu koledze, do którego ma wielkie zaufanie, że chce napisać do pisemka. Odradził (widocznie pewny był wyniku)

Zresztą Niusia zadziwi nas za kilka lat. Pozostawcie ją tylko w spokoju.

Bo wiadomo: Niusia jest emancypantką, Niusia jest w trzeciej klasie...

„Cel" kl. VIII G. M.

NASZA ZABAWA

Już skończył się karnawał, a długi był w tym roku strasznie. Kto chciał mógł bawić się, ile dusza zapragnie. Tak by się zdawało, ale podobno zabawy w karnawale to przywilej dorosłych. My młodzież i ta najstarsza i ta najmłodsza, owszem bawimy się, ale tylko na jednej, najwyżej dwóch zabawach w karnawale, bo to podobno przeszkadza w nauce. — Może i mają starsi rację.

Więc taka właśnie zabawa odbyła się w naszym Gimnazjum w niedzielę, dnia 20 lutego dla trzech najmłodszych klas — oczywiście bez chłopców. I klasa wcale nie była tym zmartwiona, bo w tym wieku najlepiej się bawi oddzielnie. II

klasa rozmaicie — te, które nie przekroczyły jeszcze „szczenięcego” wieku nawet cieszyły się z tego, ale takich w naszej klasie jest mniej... — za to inne: owszem, owszem... III klasa, o! ta co innego — te mają już większe pretensje; wszak to dawniejsza V klasa.

Nie — stanowczo dawniejszy podział klas był lepszy, niż obecnie. Przecież o ile doroślej czuła się uczennica V-ej, niż obecnej III-ej klasy nawet z dodatkiem „gimnazjalna nowego typu”. Zresztą to jakoś ładniej brzmiało dla ucha.

Więc wracam do tych najstarszych wśród najmłodszych. Nieobecność chłopców nie dodaje im humoru, czują się trochę pokrzywdzone. No, bo pomyśleć tylko, jakby to ładnie było A. w parze z S. — on tak ślicznie tańczy tango (już miała okazję przekonać się o tym, oczywiście nie na szkolnym wieczorku), a jeszcze śliczniej patrzy w oczy i jest przy tym taki nieśmiały, że można sobie wszystko dopowiedzieć, czego on nie śmie wyjawić. Albo W. — ta w podziw wprawiłaby wszystkie koleżanki, aż pękałyby z zazdrości, tańcząc obertasa z najlepszym „oberżystą” Z. Tak, ale to wszystko marzenia, bujanie w obłokach, a rzeczywistość przedstawia się tak: Janka tańczy z Danką, Basia z Krysią itd. itd. Kręcą się jak frygi, przytupują, odbijają jedna drugą, bo tańczyć lubią wszystkie. Pomyślałam sobie, że niejednej przydałyby się lekcje tańców p. prof. Mućka, ale prawda — stuknęłam się w czoło — wszak te lekcje dla młodszych zakazane, bo... z chłopcami.

Nie tak było ongiś — nie dalej, jak wczoraj, w sobotę — odbyła się tu zabawa starszych klas oczywiście z udziałem płci brzydkiej, (co w rzeczywistości nie wygląda tak brzydko). Mówi o tym nie tylko podłoga mocno sfatygowana i ściany jeszcze pełne śmiechów, śpiewu i wesołego rozgwaru, ale i podsłuchane rozmowy i zwierzenia starszych koleżanek. Jedna z nich podobno przez godzinę smarowała popuchnięte pięty po powrocie z zabawy... To ja rozumiem — jeszcze dziś na wspomnienie tej zabawy twarze ich jaśnieją jak słońca.

Pocieszają się więc nasze trzecioklasistki, że za roczek, da Bóg szczęśliwie doczekać, i one potańczą z danserami. Chyba, żeby którejś z nich nie śpieszyło się i zechciała „gruntownie studiować”... (odstukać). Mimo braku podstawowego „elementu” tańcówek, jednak zabawa odchodzi. Muzyka z nieśmiertelnymi p. K. i p. W. gra rzewne tanga, ogniste polki, oberki, foxtrotty, walczyki, a panienki tańczą wszystkie. Żadna nie czeka, aż ją poproszą — same proponują tańce nauczycielkom i koleżankom.

Jedne tańczą ładnie, jak niedoszłe baletnice, inne jak to się mówi „nie wie lewica co robi prawica”, albo „jak jedna kic, to druga nic”. — Liczka panienek zaczerwienione, oczka błyszczą radośnie, wszystkie są podniecone. I niby te same, a jednak inne... Ta ma przypiętą jakąś odświętną kokardę, ta, broszkę, albo maskotkę. (Biedny okólnik zabraniający uczennicom wszelkiej biżuterii!). Ale jakże tu nie wykorzystać takiej okazji jak zabawa! Że też zakazane rzeczy mają taką magiczną siłę przyciągania! — Lecz wszystko ma swój koniec, więc i nasz „bal” też. Co prawda pod koniec zabawy wszystkie panienki się rozchodziły, ale cóż! — Widać, jak powoli schodzą się matki, ojcowie i opiekunowie po swoje „skarby” i „pociechy”, bo dochodzi 9-ta godzina. Żegnamy się więc i dziwimy, że tak szybko czas nam zleciał. Wkładam beret „na oko”, kolorowy szalik (nieprzepisowy), płaszcz i ledwo wlokę się do domu. Czuję, że skorzystam z niedyskretnie podsłuchanej rozmowy starszej koleżanki i w domu posmaruję popuchnięte pięty...

„Podskakujący Pierwiosnek”
z II kl. Gimn. Żeńsk.

JESTEM ANTYFEMINISTĄ

Różne sobie ludzie wybierają zawody, walczą zaciekle o posady, judzą i oskarżają się wzajemnie. Ja jednak zlekceważyłem te wszystkie „popłatne" i „dobre" zajęcia i zostałem fachowym... antyfeministą. „Nie kalkuluje się", „kiepskie zajęcie" — powiem. Ale ja mam po temu ważne powody. Po pierwsze: szpetny wygląd zewnętrzny; po drugie: nieumiejętność „bujania w obłokach" podczas spacerów (bo któraż by dama dzisiejsza mówiła o rzeczach poważnych?); po trzecie: jestem kompletnym analfabetą w sprawach sztuki choreograficznej (horrendum!). A więc: przymioty uniemożliwiające karierę boksera lub amanta filmowego. Zważywszy na wyżej wymienione cechy mojej osoby nie należy się dziwić, że trzy niewiasty, które darzyłem po kolei gorącym uczuciem, również po kolei „puściły mnie w trąbę".

Czuję więc do kobiet coraz większą abominację (jak ten niedźwiedź z „Opowieści o Baśce murmańskiej" do swej połowicy).

Nie przeszkadza mi to jednak interesować się „kwestią kobiecą" i chociaż to jest marnowanie czasu, czytam feministyczne książki.

Jakżesz słuszne w nim uwagi znajduję?! Elza Oroner w swej książce „Psychika młodzieży żeńskiej" pisze na str. 59:

„W wyższych klasach szkół żeńskich zachodzić mogą wypadki zbiorowej histerii, przechodzące niejednokrotnie w groźne epidemie".

Odważna kobieta ta Elza Croner. Ja — bo bałbym się tak napisać. Ani chybi dostałbym po głowie od dotkniętych panienek i od ich amantów.

Dziwić się jednak należy, że władze lekarskie nie wyciągnęły stąd wniosków praktycznych. Pocóż wysyłać studentów medycyny do rozmaitych klinik, jeżeli w wyższych klasach szkół żeńskich można urządzać ćwiczenia praktyczne z patalogii ogólnej. Najodpowiedniejszymi momentami do obserwacji byłyby godziny: łaciny, fizyki, matematyki (correctum) oraz dni „wywiadówek".

— — — — — — — — — —

No, ale do rzeczy!

Chyba napiszę pod pseudonimem, w obawie o całość twarzy.

Otóż spośród nowoczesnych uczennic należy wyróżnić dwa typy. Przedstawicielką jednego z nich jest niesforne dziewczę, najpierw „trudne do prowadzenia", potem stające się destrukcyjnym elementem wpływającym ujemnie na klasę, w gruncie rzeczy jednak zupełnie bogobojne. Drugi typ, to uczennica wzorowa, przykładna i przepisowa, zawsze mająca respekt dla szkoły i jej władz. A więc typ szkoło-bojny.

Zresztą te są najczęściej pomieszane i tworzą mnóstwo odłamów.

* * *

Czarnobrewa, takoćwłosa Mimi ma ciągle na ustach formułki gramatyki łacińskiej, wzory algebraiczne, w oczach zadania geometryczne, a w głowie pustki sferyczne. Nie powiem, żeby była ładna, wręcz przeciwnie, to też nauka jest dla niej ucieczką zawiedzionych, z większą przyjemnością siedzi nad Horacym, niż na „herbatkach tańcujących". Wierzy niezachwianie w swój intellekt, który jednak raz po raz zawodzi. Po głowie chodzą jej „poważne myśli", bada „dogłębnie" zagadnienia życia i śmierci. Pociesza się wygłaszaniem referatów, czasami podtrzymuje na zebraniach dyskusję o dyskusji, niekiedy przewodniczy „obradom", bo wszystko to dobrze jest widziane „u góry".

* * *

Lili ma szesnaście lat, ponad to urocze loki, „grecki" nosek i w ogóle całą postać. „Enfant terrible" nie pudruje się jeszcze, natomiast kompletuje fotografie swoich wielbicieli. Czasami przeczyta

książkę może nawet poezję, ale naogół woli sport. Z brunetem chodzi na ślizgawkę, z szatynem gra w tenisa, a „w chwilach wolnych od zajęć” przejdzie się z blondynem, bynajmniej nie sportsmenem. Z przyzwyczajenia chodzi do szkoły, z zasady nosi teczkę, a ponad to „pracuje społecznie”. Mistrzowsko umie podpowiadać, czasami śpiewa, ale pianissimo, żeby nikt nie słyszał. Pisze wiersze i podobno ona jest autorką sławnego sloganu, który się znajduje we wszystkich pamiętnikach:

„Na górze róże,
na dole fiołki.
Kochajmy się X Y
jak dwa aniołki”.

Lili jest przekonana, że ma nos, jak Liliana (pod jej wpływem i ja zaczynam rymować), oczy, jak sama Marlena, włosy, jak Greta (tylko, że tamta ma jasne). Dlatego też co tydzień chodzi na filmy (nigdy sama). Dała anons do „Kina”, że kocha słoneczko, powietrze i wodę i pragnie korespondować z miłym, kulturalnym panem. Otrzymała jeden list, ale pisany już według przyszłej ortografii, tak że na tym korespondencja się skończyła. Zapytałem ją raz o jej dewizę życiową. Odparła, trawestując słowa poety: „Nikt, kto przystojny nie jest mi obojętny”.

* * *

Lola wiecznie zamyślona, zaczytana, jest kontrastem Lili. Oczywiście pozornie zamyślona, bo naogół pusta. Imponuje rówieśniczkom śmiałością poglądów, rozprawami o wolnej miłości i o realiźmie relacjonizmu historiozofii pragmatycznej.

Lola wyrosła już ze szkoły (wszak przebywa w niej kilka lat ponad normę), jak z zeszłorocznych bucików. Pobłażliwym uśmiechem swej dojrzałości darzy wszelkie poczynania swych koleżanek. Zresztą wszyscy się trochę jej boją. Nauczyciele dlatego, że za dużo wie, a za mało umie. Koleżanki dla tego, że często im mówi prawdę w oczy.

* * *

Jest jeszcze inny typ, choć rzadziej spotykany.

Doda — o niej bowiem mowa — jest trochę poetką, cierpiętniczką, a w ogóle charakterem marzycielskim.

Chciałaby nad poziomy wzlecieć „w rajską krainę ułudy”. Chciałaby pocierpieć za miliony, zabawić się w Prometeusza, zażyć doznań samotności. Oczywiście nikt jej nie dorównuje, nikt się nie wzniósł na takie wyżyny ducha. Popisowe swoje „numery” odgrywa Doda na porankach muzycznych, recytatorskich, na wycieczkach szkolnych. Szczególnie na wycieczkach. Kroczy zadumana, czasami przystanie nadsłuchując „głosów przyrody”, na postoju nie je jajek na twardo, lecz oparłszy się o konary dębu powie: „jak ciężko jest trzymać brzemię wyższości”. A stanąwszy nad ruczajem westchnie: „Zrozumiałam co mi woda szeptała”; potem złapawszy się za serce zarecytuje Jasnorzewską-Pawlikowską:

„Poetka — samobójczyni
włosy rozwiawszy fiołkowe
nad wodą stoi.
— Safo, cóż chcesz uczynić?
— Chcę morze zarzucić na głowę
by nikt nie dojrzał łez moich”.

Rozglądnijcie się! — Ileż analogii?!

„Cel“ kl. VIII G. M.

„NA TROPACH SMĘTKA”

O Melchiorze Wańkowiczu dwa lata temu nic nie słyszałem. Poznałem go dopiero w zeszłym roku przez radio. Wygłaszał cykl reportaży z naszych Kresów Wschodnich. Ujął mnie odrazu swoim gadulstwem, akcentem kresowym, pięknem narracji. Potem słyszałem bardzo pochlebne zdania o jego książce pt.: „Na tro-

pach Smętka". Książkę tę niedawno przeczytałem i ten kresowy gaduła przemówił do mnie innym językiem, niż w reportażach radiowych.

My rdzenni, „pienni" Polacy wychodzimy z prostego założenia, że kresowiak jeśli nie więcej, to czulej od nas kocha ojczyznę, jako że ma jej mniej na codzień i na święto. Zawsze więc bardzo roztkliwia się nad ojczyzną, swoiście gada i pisze po polsku, to jest ze znacznym nalotem zachodniego czy wschodniego akcentu — i oddalony od wpływów współczesności, a równocześnie pochłonięty przez kresowe pustkowia ma być powolnym, refleksyjnym, marzycielskim i leniwym.

Tymczasem „Na tropach Smętka" stawia czytelnika wobec pisarza, zgoła nowego autoramentu, webec czegoś, co nie jest powieścią, ani nowelą, ani reportażem, ani opisem podróży, a co się czyta od pierwszej do ostatniej stronicy z zapartem tchem. Tyle w tej książce jest prawdy, tyle zarazem miłości życia i jego spraw dramatycznych, tyle niezwykłej roztropności w podchodzeniu do zjawisk, tyle cierpliwości i wytrawnego rozumu w ocenie człowieka, tyle zarazem humoru, odczuwaniu, tyle głębokiego sensu polemicznego, połączonego z szlachetną wiarą w zwycięstwo słuszności. Książka Wańkowicza jest przeżyciem, które udało się autorowi zachować w zupełnej świeżości.

Wańkowicz postanowił opowiedzieć, co się dzieje na Mazurach, jak wygląda życie w Prusach Wschodnich. Zaczął się przygotowywać do tego bardzo rzeczowo i gruntownie, tak samo, jakby miał odbywać podróż na Kamczatkę czy w Himalaje. Przeczytał więc chyba wszystko, co się w tym zakresie przeczytać dało.

Opiwszy się tej lektury jak bąk przystąpił do zestawienia wyprawy. Pisarz powołał w danym wypadku do współpracy córeczkę, która — jak widać z perypetii podróżniczych — wywiązała się znakomicie z zadania, nie tylko pomagając ojcu wybitnie w technicznej pracy podróżniczej, ale stanowiąc nieoceniony walor duchowy przy ujmowaniu zjawisk nader bolesnych, czy tragicznych.

Znalazłszy się nareszcie w terenie Wańkowicz zapomniał o wszystkim, czego się o tych ziemiach i ludziach naczytał. Patrzy, widzi, doświadcza. Stara się jak najwięcej obcować z ludźmi. Ma jakąś niepojętą, nie dziennikarską, lecz kresową, lecz wschodnią cierpliwość dogadywania się z ludźmi.

Wspomaga go też wyśmienicie osobliwe, rzekomo niekłopotliwe, nie obowiązujące, a pomyślne, rafinowane gadulstwo kresowe. Jakaż znajomość rzeczy, wypadków, pokrewieństw, przygód, przeżyć! Wynoszą to przecież z kresów ci kresowiacy.

U podstawy tych wszystkich zalet tkwi najważniejsza: czułe zrozumienie idei wytrwania, oporu, wytrzymałości wobec zalewu obcych sił i środowisk. Wańkowicz wie, jak się do tego podchodzi. Wie z praktyki naszych kresów, że sprawy istotne są głęboko poukrywane we wszystkich pozorach bieżącego życia.

Dobiera się do tych spraw nad wyraz zręcznie, z delikatnością tej wielkiej siły wytrwania, którą od dzieciństwa nasycał się w rodzinnych stronach. I cóż! Dzięki tej pięknej, serdecznej wiedzy oraz zręczności zdołał Wańkowicz wydobyć z tamtego środowiska Mazurów, którzy mówiąc starą rejowską polszczyzną nie przyznają się do polskości, nie wiedzą niejednokrotnie, że wogóle byli i są w swej mowie i w sercu i w swych najgłębszych duchowych instynktach Polakami.

Autor „Na tropach Smętka" pokręciwszy się po wsiach, drogach i jeziorach mazurskich wydobywa na jaw tragiczny stan całej sprawy etnicznej tego kawałka ziemi. Zastrzega się sam, że nie chce robić żadnej propagandy, nie chce prowadzić żadnej politycznej walki. Odkry-

wa jednak splot tragiczny zadeptywania, wycinania nożem z duszy tamtejszych ludzi najdroższych pierwiastków, których rozwojem i uszlachetnieniem szczyci się Europa przed światem.

Ale przecież w ostatecznej konsekwencji rzeczy te dają się jednak sprowadzić, zwłaszcza w dzisiejszych, zajątrzonych stosunkach europejskich, do zagadnień publicystyki, walki, propagandy czy może nawet reportażu politycznego.

Książka Wańkowicza przenosi swą wartością zacytowane wyżej gatunki pisarskie. Można ją uważać za rodzaj reportażu politycznego, lecz tak wysokiego, tak szlachetnego gatunku, że nie tylko nie obraża, nie rani przeciwnika, nie tylko nie zaciemnia, nie gmatwa sprawy, lecz stawia ją na wyżynach szlachetnego zmagania się przekonań, przeciwnika zaś uświadamia o dobrej intencji tego, który sprawę podniósł i rozważa.

Książka Wańkowicza spotkała się z najżyczliwszym przyjęciem czytelników, o czym świadczy ukazanie się już piątego nakładu tego dzieła.

Warto, by z „Tropami Smetka" zazapoznał się szerszy ogół społeczeństwa europejskiego. Zagraniczny czytelnik dowiedziałby się od Wańkowicza wielu rzeczy równie ciekawych, jak z reportaży Demaitre'a czy Gide'a.

Kilkanaście lat temu, podczas plebiscytu na Mazurach, St. Żeromski stwierdził, że na ziemi tej biją przytłumione butami pruskimi serca polskie. Melchior Wańkowicz tę prawdę potwierdził.

C. K. kl. VIII G. M.

Kolego „Satyrze"!

Męska zarozumiałości i pycho!

— Przeczytałam „Wizje" i uważam, że tytuł powinienby brzmieć raczej: „Majaczenia".

— Co sobie właściwie Kolega myślał, pisząc ten artykuł, a ściślej jego część dotyczącą nas? Czy uważa Kolega za mądry dowcip to zmyślanie naszych modlitw?

— Nie wiem o co modlicie się Wy, „Satyrzy" i inni. (Niestety — nie miałam okazji podsłuchania tego). Sądząc jednak z „Wizji" to niezbyt mądre są Wasze modlitwy.

— Czyż myślicie, że my nie mamy nic ciekawszego do roboty, jak „marzyć" o Was?! — Uważam, że wspominanie Waszego imienia w modlitwach byłoby prawdziwym bluźnierstwem.

O „Satyrze" — niechże Cię uśmiech jakiejś pięknej dziewicy przyprawi o lepsze natchnienie!

„Jedna z Gimn. Żeńsk." kl. IV.

Mówią że...

... wyszła książka, marszałka S. S. p. t. „Znaczenie nosa w narciarstwie" czyli „Podręcznik racjonalnego upadania".

S. B.

... pod kierownictwem p. prof. Jasiewicza zostaną zorganizowane lekcje tańców góralskich (szczególnie tego z całowaniem). Liceum męskie z niecierpliwością oczekuje „premiery".

S. B.

Rozrywki umysłowe

LOGOGRYF

Za rozwiązanie 10 punktów.

uł. B. N. kl. I A.

1.							
2.							
3.							
4.							
5.							
6.							
7.							
8.							
9.							
10.							
11.							

W kratki należy wstawić wyrazy o następującym znaczeniu:

1. Ptak. 2. Miasto na Łotwie. 3. Miasto w Czechosłowacji. 4. Rzeka w Azji. 5. Rzeka w Afryce. 6. Szczyt w Tatrach. 7. Stan w U. S. A. 8. Ssak jajorodny. 9. Miasto w Wielkiej Brytanii. 10. Miasto w Polsce. 11. Materiał wybuchowy.

Rząd środkowy da rozwiązanie.

Łamigłówka matematyczna.

Za rozwiązanie 10 punktów.

uł. B. K. kl. II B.

5	4	15	10	3	2	7	13
4	12	4	1	4	1	1	4
1	2	17	0	19	6	5	3
11	1	0	18	5	0	3	4
20	2	2	1	7	2	14	6
1	8	1	1	0	1	9	1
2	3	4	16	1	7	3	3
3	1	5	4	2	1	3	1

Podzielić dany kwadrat na 8 równych części tak, aby wszystkie miały jednakową sumę liczb.

— o —

Rozwiązania należy przysyłać do 30 kwietnia.

— o —

W konkursie prowadzą kol. kol.:

Z Gimn. Żeńsk. kol. W. Nowakówna 15 p. i kol. M. Wyrzykowska 10 p.

Z Gimn. Męsk. H. Murzyn 45 p., Cz. Popek 40 p. oraz J. Luzak, S. Łapa, J. Łukawski, J. Puchała, R. Renard, Z. Świątek i Cz. Świerszcz po 35 punktów.

— o —

OPIEKUNOWIE PISMA: Krasnowolska H., Urbańska A., Filusowa S., Michalski G.

KOMITET REDAKCYJNY: Kawińska J., Gierdziejewska I., Kłosówna A., Bakówna Z., Rduch B., Nobis W., Domański Z.

ADMINISTRACJA: Dywalówna J., Żołnierczykówna K., Manowski W., Borkowski J., Pięciński H.

REDAKTOR NACZELNY: Domański Z.

ADMINISTRATOR NACZELNY: Borkowski J.

WYDAWCA: Bratnia Pomoc Uczniów Państwowego Gimnazjum Męskiego w Ostrowcu.

Okładkę projektował Z. Kal. — wycinał B. Rduch.

Druk. Z. Kaliszczak — Ostrowiec — 932-38

polecamy znakomite
piwa, lemoniady

SASKIEGO

SŁODOWNIA
BROWAR PAROWY
MŁYN

Telefon 10

SKLEP GALANTERYJNY
„NOWOŚĆ"

OSTROWIEC, Aleja 3 Maja 39 — Tel. 189

poleca w wielkim wyborze KONFEKCJĘ
damską, męską i dziecinną

Duży wybór:
kostiumy i pantofle gimnastyczne, czapki szkolne itp.

Ceny przystępne

CUKIERNIA
S. RÓŻAŃSKI M. WASILEWSKI

OSTROWIEC, Aleja 3 Maja Nr. 5 — — Telefon 109

POLECA WYROBY WŁASNE PIERWSZORZĘDNEJ DOBROCI

Uwaga: dla młodzieży szkolnej i instytucyj społecznych udziela się rabatu

---

JEDYNY CHRZEŚCIJAŃSKI
HOTEL POLSKI i RESTAURACJA

Ostrowiec, ul. Mik. Reja Nr. 4 Telefon 55

KSIĘGARNIA POCZTOWA „LOT" Ostrowiec, w gmachu poczty.

POLECA: znaczki filatelistyczne, oraz karty do gry, znaczki pocztowe i stemplowe, materiały piśmienne, wyroby tytoniowe, weksle, dzienniki i czasopisma w dużym wyborze.

Druk Z. Kaliszczak — Ostrowiec. 932-38

ZBIGNIEW KALISZCZAK
DRUKARNIA i INTROLIGATORNIA
Ostrowiec Ś-tokrzyski, Legionów 10.

Ostrowiec, dnia 26 SIERP. 1938 193..... r.

WYKAZ Nr. 3

druków przesłanych Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie

jako egzemplarze dla celów bibliotecznych i urzędowej rejestracji na zasadzie ustawy z dnia 18 marca 1932 r. (Dz. U. R. P. Nr. 33, poz. 347) i rozporządzeniami Ministra W. R. i O. P. z dnia 9 lutego 1934 r. (Dz. U. R. P. Nr. 17, poz. 137), z dn. 26 listopada 1935 r. (Dz. U. R. P. Nr. 92, poz. 584) i z dn. 20 czerwca 1936 r. (Dz. U. R. P. Nr. 61, poz. 448).

Nr. bież.	Autor (nazwisko i imię)	Tytuł druku	Miejsce i data ukończenia druku	Nakładca lub drukarz	Ilość tomów	Wysokość nakładu
1	2	3	4	5	6	7
3	Bratnia Pomoc gimn. męskiego w Ostrowcu	Na szkolnej ławie Nr. 1 i 2	16.X.37 25/XI 37	ZBIGNIEW KALISZCZAK DRUKARNIA i INTROLIGATORNIA Ostrowiec Kielecki ul. Legionów 10, tel. 178		Nr. 1 350 Nr. 2 400

Uwaga: W rubryce 1 ciągłość numeracji należy utrzymać przez cały rok kalendarzowy.
W rubryce 5 należy podać nakładcę, jeśli druki nadsyła drukarz, drukarza zaś, jeśli druki nadsyła nakładca względnie wydawca.

27 SIERP. 1938 [signature]

(data wysłania i podpis wysyłającego)

(data otrzymania i pieczęć odbiorcy)

Uwaga: do 1.III.38 r. egzemplarze obowiązkowe odsyłano do Starostwa w Opatowie.